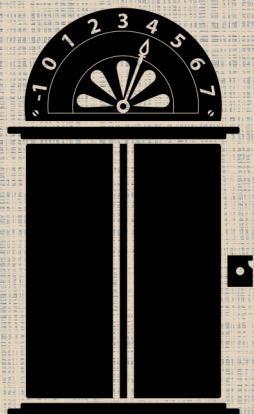
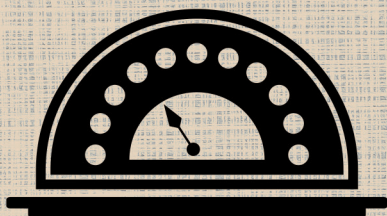


Przejaw genialnej
mocy wyobraźni.

THE VILLAGE VOICE



INTUICJONISTKA

COLSON

WHITEHEAD

AUTOR
„KOLEI PODZIEMNEJ”

ZDOBYWCA DWÓCH PULITZERÓW
ORAZ NATIONAL BOOK AWARD



Whitehead wjeżdża
windą na sam szczyt!

NEW YORK TIMES



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE INTUITIONIST

Copyright © Colson Whitehead 1999
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2023

Redakcja: Marta Grał

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: Mint Fox/Shutterstock (*drzwi windy*);
Ajay Shrivastava/Shutterstock (*wskaźniki piętra*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



To nowa winda, świeżo wpuszczona w prowadnice, i nie została zaprojektowana, żeby aż tak szybko spadać.

*

Nie wie, co zrobić z oczami. Drzwi wejściowe do budynku są zbyt podrapane i zaorane bliznami, żeby na nie patrzeć, a ulica za jej plecami – niewiarygodnie pusta, jakby całe miasto ewakuowano i tylko ona jedna się o tym nie dowiedziała. W takich chwilach zawsze może zająć swoją uwagę grą. Otwiera skórzany segregator i opiera go na pierśsi. Im dalej musi sięgnąć pamięcią, tym gra jest trudniejsza. Większość inspektorów z poprzedniej dekady wciąż należy do Gildii, łatwo ich więc zidentyfikować: LMT, MG, BP, JW. Nie przepada za żadnym z mężczyzn, którzy przed nią odwiedzali Walker Street 125. Martin Gruber przy jedzeniu żuje bez zamykania ust i lubi żonglować swoim szklanym okiem. Duży Billy Porter należy do Starych Wyg i jest z tego dumny. Bywa, że kiedy Lila Mae wraca do Nory z misji,

trafia na niego, raczącego chłopców opowieściami z przeszłości, o czasach świetności Gildii. W jego słowach nigdy nie ma konkretów, ale wszyscy dokładnie wiedzą, do czego pije tym swoim chrapliwym, mętym głosem. Na przekór obowiązującym w Norze biurokratycznie równym szeregom dębowe biurko Billy'ego wystaje na przejście, żeby mógł sadowić cielsko wprost pod sufitowym wentylatorem. Twierdzi, że łatwo się przegrzewa. W najgorętsze letnie dni resztki włosów na głowie przestają mu leżeć tak, jak je uczesał, i skracają się w idealne spirale. Dzieje się to powoli, a obserwowanie całego procesu jest jak wyczekiwanie, aż minie kolejna godzina. W końcu zawsze następuje.

Wszyscy inspektorzy, którzy dotąd wizytowali Walker Street 125, to empiryści. Na ile Lila Mae potrafi to stwierdzić. Kiedy sięga dalej, piętnaście lat wstecz, nie potrafi już połączyć inicjałów z twarzami. Rozpoznaje te inicjały z ksiąg rewizyjnych dźwigów w innych budynkach, ale nigdy nie poznała osób, do których należą. Na przykład JM pojawia się w księdze rewizyjnej windy, którą Lila Mae sprawdzała pół godziny temu, a EH – jak się z czasem przekonała – zwraca szczególną uwagę na zużyte przewodniki, których nie sprawdza nikt oprócz nadgorliwych pedantów. Bo sprawdzanie przewodników jest z góry skazane na porażkę. Na pewno portrety niektórych właścicieli inicjałów wiszą na ścianach Nory. To wizerunki mężczyzn z przepisowymi fryzurami, jakich wówczas wymagała Gildia, porządnymi fryzurami mężczyzn sumiennych i odpowiedzialnych. Te fryzury to funkcjonalne porażki, od których bije godność,

wierność, braterstwo aż po śmierć. Kiedyś specjalizował się w nich zakład fryzjerski dwa domy od Gildii, z którego zawsze dobiega bigbandowa muzyka. A przynajmniej tak mówią. Ostatnio część młodszych inspektorów wróciła do tej fryzury. Nazywają ją fryzurą na bezpiecznik. Lila Mae ma przedziałek na środku głowy. Włosy obejmują jej okrągłą twarz jak tysiąc łapczywych palców.

Światło na tej ulicy o tej porze to zużyta szarość gettoowego zmroku, o barwie matowej rtęci. Lila Mae raz jeszcze dzwoni do dozorczy i słyszy metaliczne brzęczenie. W zapisach księgi rewizyjnej sprzed dwudziestu lat natrafia na jeden ze skarbów, które urealniają tę grę: James Fulton i Frank Chancre wizytowali budynek przy Walker Street 125 w odstępie sześciu miesięcy. Według niej ten zbieg okoliczności łatwo można odczytać jako przekazanie pałeczki. Nie wiadomo natomiast, dlaczego Fulton opuścił biuro i znowu ruszył w teren. Dwadzieścia lat temu musiał być dziekanem Instytutu – krążenie po budynkach, wydzwanianie do dozorców i sterczenie na szpetnych, zniszczonych schodkach dawno miał za sobą. Później Lila Mae przypomina sobie, że lubił czasem ruszyć w teren, żeby nie zapomnieć, jak to się robi. Fulton z tą swoją mahoniową laseczką, którą zapewne zapukał ze zniecierpliwieniem w jedną z trzech szybek frontowych drzwi budynku przy Walker Street 125. Może wtedy nie były jeszcze nadtłuczone. Może to on je nadtłukł. W księdze rewizyjnej obok jego inicjałów widnieje adnotacja o problemie z łącznikiem krańcowym, czyli 378. Lila Mae rozpoznaje charakter pisma, bo zna go z pokoju Fultona w

Instytucie, z wysokich drewnianych gablot, gdzie za szkłem wystawiono w kontrolowanej atmosferze jego najszlachetniejsze pisma.

Z kolei Chancre musiał być wtedy młodym, dobrze zapowiadającym się inspektorem. Nieco szczuplejszym, bez tyłu pękniętych naczynek w nosie. Z pensji nowicjusza nie mógł sobie pozwolić na te swoje granatowe dwurzędowe garnitury, ale od tamtej pory jego pozycja bardzo się zmieniła. Lila Mae wyobraża sobie, jak Chancre w chwiejnym geście zażyłości zamyka dłonie dozorczy w swoich wielkich łapach. Żeby zostać politykiem, potrzeba czasu, ale z tym uśmiechem już się urodził. Takiego uśmiechu nie można udawać. Ładny tu macie budynek, panie kolego. Miło spotkać kogoś dumnego z własnej roboty. Czasami, jak człowiek wchodzi do obiektu, to sam nie wie, co zastanie, słowo daję. Aż się ma ochotę powiedzieć: jak ludzie mogą tak żyć? Ale potem sobie przypominam, że nie wszyscy zostaliśmy obdarzeni po równo, więc każdy musi sobie radzić z tym, co ma. W moich stronach to... Chancre wystawił domowi przy Walker Street 125 wzorowe świadectwo. Tyle miał na głowie, tyle na głowie.

Wiatr utyka w jednym z tajemnych zakamarków Walker Street, przepycha się, gwizdże. Dźwig w tym budynku to model Arbo Smooth-Glide, popularny wśród wykonawców w czasach, kiedy stawiano ten dom. Z zajęć z marketingu dźwigów w Instytucie Lila Mae pamięta, że na promocję Smooth-Glide'a na targach i w magazynach branżowych Arbo wydało grube miliony. To właśnie ta firma

jako pierwsza pojęła potęgę bikini. Obrotowa platforma udekorowana czerwono-biało-niebieskimi wstążkami, a na niej smukłe palce w ruchu, przyzywają przedsiębiorców. Modelki mają idealne amerykańskie pępki, a w starym centrum kongresowym panuje duchota. Tabliczka, od której odwracają uwagę apetyczne atrakcje, wyszczególnia zalety opatentowanego systemu przeciwwagi Arbo QuarterPoint wypisane srebrnymi literami. Znasz to uczucie? Właśnie dopieściłeś swoją najnowszą realizację i dumny jak paw szykujesz się do przedstawienia jej klientowi. Akurat jedziesz na ostatnie piętro, kiedy nagle dźwig marki X staje i nie chce drgnąć. Z tym producentem już na pewno nie chcesz mieć do czynienia! Dzięki nowym dźwigom Smooth-Glide firmy Arbo do budynków mieszkalnych zapomnisz o zacinających się, niesfornych przeciwwagach. Na całym świecie pracuje ponad dwa miliony naszych wind. Jedziemy w górę?

W szybcie pojawia się łysa głowa okolona luźnymi rudymi lokami. Mężczyzna patrzy na Lilę Mae, mrugając, a potem otwiera drzwi i chowa się za ich szarym metalem. Czeka, aż to ona się odezwie.

– Lila Mae Watson. Przyszłam skontrolować pańską windę.

Wargi mężczyzny unoszą się do nosa i Lila Mae rozumie, że nie widział dotąd inspektora takiego jak ona. Z biegiem czasu zdołała zlokalizować ośrodek metropolitalnej obojętności. Punkt zero. Mieści się on w sercu miasta, na skrzyżowaniu ulic, gdzie za dnia kłębią się ludzie w ciągłym pędzie, a nocą wszystko pustoszeje, są tylko prostytutki i zabłąkani

sprzedawcy encyklopedii. Dwie minuty piechotą od biura. Mając ten punkt odniesienia, Lila Mae umie przewidzieć, ile podejrzliwości, ciekawości i złości wywoła podczas danej wizyty. Walker Street 125 znajduje się na obrzeżach miasta, nieopodal brzegu zanieczyszczonej rzeki, która nie dopuszcza wieżowców na przedmieścia, czyli dość daleko od tamtego skrzyżowania: nie spodobała się dozorczy.

– Pani pokaże odznakę – odpowiada mężczyzna, chociaż ona już grzebie w kieszeni marynarki.

Lila Mae otwiera etui z identyfikatorem i podtyka go dozorczy pod twarz. Ten nawet na niego nie patrzy. Zażądał go tylko dla efektu.

Korytarz pachnie przypalonym zwierzęcym tłuszczem i jakimiś sosami gotowanymi aż do zwęglenia. Pod sufitem co druga lampa jest pęknięta albo w ogóle jej nie ma.

– Tu z tyłu – mówi dozorca.

Prowadząc Lilę Mae po posadzce z czarno-białych sześciokątnych płytek uszczelnionych brudem, zdaje się roztafiać. Jego bulwiasta głowa rozplywa się w ramiona, a potem rozlewa w szerokie bajoro tułowia i nóg.

– A czemu to nie Jimmy przyszedł? – pyta. – Jimmy dobry chłop.

Lila Mae nie odpowiada. Na przedramionach i zielonej koszulce dozorca ma plamy ciemnego smaru. Wyżej z hukiem otwierają się drzwi i jakaś kobieta wykrzykuje coś drażniącym tonem, zarezerwowanym dla karcenia dzieci i zwierząt.

Nierówna, dziobata faktura drzwi kabiny sugeruje, że

malowano je już parę razy, ale Lila Mae i tak rozpoznaje nietypowo szerokie drzwi Arbo Smooth-Glide. Kierując się najwcześniejszymi głosami krytyki ze strony użytkowników, Arbo wyposażyło najnowszy model w ponadwymiarowe drzwi, które miały stworzyć złudzenie przestrzeni i odwrócić uwagę od tego, co każdy jadący windą odczuwa bardzo wyraźnie: że znajduje się w skrzyni zawieszanej na sznurku nad przepaścią. Że jest w próżni. Jeśli przed następnym remontem dozorca nie zdrapie z drzwi starej warstwy, w końcu farba zacznie zaburzać ich ruch. (W tej okolicy oczywiście jest dużo graffiti). Już teraz podczas otwierania zacinają się w rowkach. Szykuje się naruszenie przepisów, już widać, że kroi się 787. Lila Mae postanawia nic nie mówić dozorczy. Nie na tym polega jej praca.

– Pewnie chce pani zacząć od maszynowni – stwierdza mężczyzna.

Skupia się na idealnej trójkątności węzła jej krawata, na jego fioletowo-niebieskiej szachownicy. Krawat znika w pobliżu jej biustu, wsuwa się między guziki granatowej marynarki.

Lila Mae nie odpowiada. Opiera się o tylną ścianę windy i słucha. Budynek przy Walker Street 125 ma tylko dwanaście kondygnacji, a wibracje napędu, który pracuje na wolnym biegu, nie słabną zbyt, kiedy niosą się po szorstkiej pętli koła zdawczego, przebiegają przez zawieszenie i ogarniają kabinę. Lila Mae czuje je w plecach. W górze słyszy pstryknięcie napędu drzwi w ciemnym szybie, a potem drzwi się zamykają, zwalniając odrobinę na ścierającej się

warstwie farby. Trzy sprężyny śrubowe Gemco to typowe zderzaki stosowane w dźwigach Arbo. Czekają pięć metrów pod stopami Lili Mae niczym stalagmity.

– Proszę wcisnąć dwunastkę – instruuje inspektorka dozorcę.

Mogłaby to zrobić sama nawet z zamkniętymi oczami, ale stara się skupić na wibracjach, które masują jej plecy. Już je niemal widzi. W jej umyśle wibracje dźwigu układają się w stożek koloru morskiego. Lila Mae rozluźnia dłoń, na której leży długopis – może spadnie. Wypiera dźwięk oddechu dozorczy, niskie dudnienie, które na końcu wydechu przechodzi w śpiewny gwizd. To zakłócenia. Winda rusza. Rusza w górę wewnątrz szybu, w stronę pomruku w maszynie, a Lila Mae przetwarza to w obraz. Wznoszenie się jest czerwonym szpicem orbitującym wokół niebieskiego stożka, który staje się dwa razy większy i zaczyna się kołysać, kiedy winda pnie się wzwyż. Kształtów oraz ich zachowania nikt nie wybiera. Każdy ma swoje dżiny. W zależności od tego, jak działa dany mózg. Lila Mae zawsze miała skłonność do form geometrycznych. Kiedy kabina dociera do czwartego piętra, w ramy jej umysłu wtacza się z rozpędem pomarańczowy ośmiokąt. Podskakuje raz za razem, wbrew kanciastej agresji czerwonego szpica. W okolicach siódmego piętra wyłaniają się sześciany i równoległoboki, przestają jednak na niemrawych podrygach i nie zakłócają przebiegu wydarzeń jak niesforny pomarańczowy ośmiobok. Ten, spragniony uwagi, rykoszetuje na pierwszym planie. Lila Mae wie, czym jest ten ośmiobok.

Pod nią nikt nie trójca zderzaków sprężynowych, dziesięć pięter w dole, na ciemnym, pełnym kurzu dnie szybu. Więcej nie trzeba. Tuż przed otwarciem oczu Lila Mae usiłuje sobie wyobrazić minę dozorca. Z powodzeniem, jeśli nie liczyć szczególnego wygięcia ust, ale ono się nie liczy, bo widziała je już wcześniej, kiedy otworzył drzwi wejściowe. Jego zmrużone oczy to dwie czarne kreski zlewające się w jednolity motek hieroglificznego grymasu. Wargi wyduła tak bardzo, że prawie je wsysa nozdrzami.

– Będę musiała pana zgłosić za wadliwy ogranicznik prędkości – mówi Lila Mae.

Drzwi powoli przesuwają się w prowadnicy. Tu, na górze, tak blisko maszynowni, wibracje napędu na wolnym biegu są pełne i silne.

– Ale przecież pani go nawet nie obejrzała. Nawet go pani nie widziała. – Dozorca jest zdezorientowany. Na jego różowe policzki wystąpiły maleńkie plamki krwi.

– Będę musiała pana zgłosić za wadliwy ogranicznik prędkości – powtarza Lila Mae.

Właśnie odkręca śrubki szybki osłaniającej tabliczkę kontroli, którą umieszczono na lewej ścianie kabiny. Wzdłuż jej śrubokręta biegnie napis: WŁASNOŚĆ WYDZIAŁU INSPEKTORÓW DŹWIGÓW.

– Zacina się co jakieś sześć metrów – dodaje Lila Mae, kiedy wyciąga tabliczkę spod szybki. – Jak pan chce, mogę iść do samochodu po przepisy i sam pan sobie sprawdzi.

– Nie chcę oglądać żadnych cholernych przepisów – odpowiada dozorca. Z ożywieniem pociera kciukami o

pozostałe palce, kiedy ona podpisuje się na tabliczce i przykręca szybkę. – Wiem, co tam piszą. Chcę, żeby pani sama obejrzała windę. Chodzi jak trzeba. Pani nawet nie była na górze.

– A mimo to...

Lila Mae otwiera segregator i wpisuje swoje inicjały u dołu kolumny identyfikacyjnej. Nawet z jedenastego piętra nadal słyszy kobietę wydzierającą się na dzieci, a przynajmniej sądzi, że na dzieci. W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo.

– Chyba nie jest pani jednym z tych inspektorów, co odstawiają voodoo? Że niby nic nie musicie oglądać, bo wszystko czujecie? Słyszałem, jak Jimmy nabija się z szamanów takich jak wy.

– Jestem intuicjonistką – mówi Lila Mae.

Pociera kulkę długopisu, żeby pobudzić tusz. W jej inicjałach litera W jest z widmowego alfabetu.

Dozorca uśmiecha się szeroko.

– Skoro tak chce pani grać... Przyparła mnie pani do muru. – W jego śliskiej dłoni są trzy banknoty dwudziestodolarowe. Mężczyzna nachyla się do Lili Mae i wkłada pieniądze do jej kieszeni na piersi. Przyklepuje. – Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety inspektora, do tego kolorowej, ale widzę, że wszystkich was tam uczą takich samych sztuczek.

Za plecami Lili Mae uchylają się drzwi mieszkania 12-A.

– Co to za hałasy? – pyta ktoś wysokim, piskliwym głosem. – Kto się snuje po korytarzu? Czego chce?

Dozorca stanowczo zatrząskuje drzwiami i mówi:

– Pani LaFleur, pani się nie wtrąca. To tylko ja.

Potem odwraca się do Lili Mae i znowu się uśmiecha. Wtyka język w szparę, gdzie kiedyś miał dwa przednie zęby. Z tym systemem przeciwwagi QuarterPoint Arbo bynajmniej nie kłamało. Parę lat temu pewne pożałowania godne zajście w Atlancie narobiło szumu w prasie branżowej, ale późniejsze dochodzenie oczyściło Arbo z zarzutów o zaniedbania – tak mówią. Za to ograniczniki prędkości użyte w tym modelu to zupełnie inna historia: znane z zawodności, więc wedle rachunku prawdopodobieństwa słynna wada produkcyjna już dawno powinna się była ujawnić. Sześć dych to sześć dych.

– Kopię sprawozdania z inspekcji otrzyma pan pocztą za kilka dni. Będzie tam informacja o wysokości kary – mówi Lila Mae.

W księdze rewizyjnej budynku przy Walker Street 125 wypisuje: 333.

Dozorca uderza wielką dłonią o drzwi mieszkania 12-A.

– Ale przecież właśnie pani dałem sześćdziesiąt dolców! Jeszcze nikt nie wyciągnął ode mnie więcej niż sześć dych. –Trudno mu trzymać drżące ręce przy ciele. Nie, nie miałby skrupułów, żeby zamachnąć się na tę kobietę.

– Włożył pan sześćdziesiąt dolarów do mojej kieszeni. Nie wydaje mi się, bym swoim zachowaniem sugerowała, że oczekuję od pana łapówki, nie wypowiedziałam także żadnych słów ani nie wykonałam gestu w rodzaju wyciągnięcia dłoni, co można by uznać za deklarację, że zmienię treść raportu w zamian za pańską gotówkę. Jeżeli chce pan

rozdawać ludziom swoje ciężko zarobione pieniądze – Lila Mae macha ręką w stronę gąszczu graffiti – uważam to za osobliwy, acz w tym przypadku fortunny nawyk, który jednak nie ma ze mną nic wspólnego. Ani z powodem, dla którego tu jestem. – Zaczyna schodzić po schodach. Po całym dniu jeżdżenia windą bardzo chętnie zejdzie pieszo. – Jeśli chce pan z powrotem swoje pieniądze, to może pan spróbować, a jeśli chce pan podważyć moje ustalenia i wezwać kogoś na ponowną kontrolę ogranicznika prędkości, ma pan do tego prawo jako przedstawiciel administracji budynku. Ale to ja mam rację.

Zostawia dozorcę na ostatnim piętrze razem z dźwigiem Smooth-Glide. Mężczyzna klnie. Nie pomyliła się co do ogranicznika prędkości. Nigdy się nie myli.

Na razie jeszcze nie wie.

*

Wszystkie samochody Wydziału mają algowozieloną barwę i lśnią tak samo jak algi dzięki troskliwej opiece personelu parku samochodowego. W wieczór swojego zaprzysiężenia Chancre wszedł na mównicę, serdelkowatymi palcami ścisnął pulpity i ogłosił Plan Dziesięciu Punktów. Na jego szyi wisiała na długiej patriotycznej wstędze złota odznaka obejmowanego urzędu. „Pojazdy Wydziału – huknął – muszą pozostawać w stanie godnym Wydziału”. Odpowiedział mu aplauz zgromadzonych w ciemnej sali bankietowej hotelu Albatros. Ludzie siedzący przy długich owalnych stołach, ustawionych wokół straszliwych kompo-

zycji kwiatowych autorstwa pani Chancre, prędko przełożyli siódmy punkt planu na znacznie zwięźlejsze: „Niech ci kolorowi porządnie polerują wozy”. Jeden z mechaników, Jimmy, potajemnie podkochuje się w Lili Mae. Właściwie nie całkiem potajemnie: tylko jej samochód jest odkurzany codziennie i każdego ranka, zanim inspektorka wyjedzie w teren, lusterko wsteczne ma ustawione po wygibasach nocnej zmiany dokładnie tak, jak lubi. Wśród krzepkich pracowników parku samochodowego Jimmy wyróżnia się szczupłą sylwetką i jest najmłodszy. Zgrubienia na jego dłoniach wciąż jeszcze są tylko małymi bąbelkami na skórze.

Ruch uliczny pod koniec zmiany jest nieznośny. Rozgłośnia WCAM rozmieszcza swoich wysłanników, wyposażonych w lornetki, przy strategicznych estakadach, żeby opisywali wszystkie węzły i sęki. Lila Mae nie potrafi odróżnić tych ludzi od samotnych włóczęgów błakających się wzdłuż autostrady. Jedni i drudzy wykonują dziwne ukradkowe gesty, jedni i drudzy garbią się w szczególny sposób, który wskazuje, że są tam, gdzie są, na poboczu drogi, bez wyraźnego powodu. Z takiej odległości nie odróżnisz krótkofalówki od flaszki taniego wina.

Nie mają alibi – ocenia Lila Mae ludzi przy drodze.

Jej sedan wlecze się przez czarny klajster. Obserwator WCAM ostrzega, że na drodze przed nią doszło do wypadku: wywrócił się szkolny autobus, przechodnie wyciągają syje i robią znak krzyża, a korek rośnie.

Tutaj! – trąbi kobieta w czerwonym kompakcie. Lekki trel klaksonu zdradza obce pochodzenie auta, brzmi jak

gruchanie w obcym języku nad dziecięcym łóżeczkiem. Zdaniem Lili Mae samochodowe klaksony działają wstecz: zamiast poganiać marudera, który jedzie z przodu, przyzywają ludzi z tyłu: za mną, podjeżdżajcie. Lila Mae słucha sporadycznych wezwań, słucha wiadomości w WCAM, a przed nią na drodze tlą się czerwone światła hamowania. Każde słowo spikera cechuje rutynowa elegancja, czysta pustka, którą Lila Mae kojarzy z geometrią. Spiker mówi, że z zachodu idzie niż. Spiker mówi, że w Fanny Briggs Memorial Building doszło do wypadku. Spadła winda.

Wreszcie coś.

Lila Mae włącza wydzielone radio i słyszy głos dyspozytora, który wzywa jej kod inspektorski.

- Halo, Z34. Zulu-trzy-cztery, zgłoś się.
- Tu Z34, zgłaszam się – mówi Lila Mae.
- Z34, dlaczego nie zameldowałaś się wcześniej?

Wbrew utrzymującym się wyobrażeniom dyspozytornia Wydziału Inspektorów Dźwigów wcale nie jest pełna długich konsol obsługiwanych przez sprawną ekipę, która gorączkowo wtyka i odłącza kable z mnóstwa gniazdek, przekierowując połączenia. Dyspozytornia to mała klitka na ostatnim piętrze biura, w której zawsze przebywa tylko jedna osoba. Pomieszczenie jest bardzo schludne i nie ma okien. Teraz dyżur ma Craig; w wyobraźni Lili Mae to chudy mężczyzna o brązowych włosach, który usycha w obrotowym fotelu, ubrany w spodnie na szelkach i koszulkę bez rękawów. Nigdy nie widziała żadnego dyspozytora, a samo pomieszczenie tylko raz, pierwszego dnia pracy. Pewnie

wtedy akurat był w łazience albo robił kawę.

– Miałam zlecenie – odpowiada. – Walker Street sto dwadzieścia pięć. Właśnie wsiadłam do samochodu.

Nikt nie przyłapie jej na tym kłamstwie. Kiedy kończy pracę, zawsze wyłącza radio. Czasem ktoś z nocnej zmiany dzwoni, że zachorował, a wtedy Craig próbuje namówić ją na kilka godzin zastępstwa. Dopóki miasto i Wydział nie wypracują zasad naliczania nadgodzin, nie ma mowy, żeby zgodziła się na nocną zmianę. Uważa, że kto nie zwalczył kaca do szóstej, ten musi cierpieć.

– Masz natychmiast zameldować się w centrali – mówi Craig. Potem dodaje: – Zulu-trzy-cztery.

– Co to za gówno w Fanny Briggs? – pyta Lila Mae.

– Z34, masz natychmiast zameldować się w centrali. Chancre chce z tobą rozmawiać. I chyba nie muszę ci przytaczać, co przepisy Wydziału mówią o używaniu wulgaryzmów na miejskich częstotliwościach? Bez odbioru.

Lila Mae ponownie włącza WCAM z nadzieją na więcej szczegółów. Nie wie, czemu Craig zgrywał twardzieła, a to niedobrze. Lila Mae rozważa, czy nie ominąć korka poboczem. Gdyby jakiś policjant chciał ją zatrzymać, pomacha inspektorskimi papierami. Relacje policji i inspektorów dźwigów mają jednak trudną przeszłość, więc mało prawdopodobne, żeby gliniarz jej odpuścił, nawet jadącej w sprawach miejskich. Miasto oczywiście nigdy nie odpowiedziało na wielokrotne apele Chancre'a o syreny. Z niewiadomych przyczyn nikt poza Gildią nie uważa, że są potrzebne. W radiu jeden z obserwatorów WCAM komentuje,

jak długo służbom ratunkowym zajmuje wyciągnięcie dzieci z autobusu.

W trzeciej klasie Lila Mae przygotowała referat o Fanny Briggs. Fanny Briggs pojawiła się już wtedy w co nowszych encyklopediach, w niektórych nawet ze zdjęciem. Wyglądała na nich na zmęczoną; miała opadające powieki, a z kości policzkowych ściekały obwisłe policzki. Lila Mae stanęła przed klasą i cała dygocząc, zaczęła referat. Zwykle wolała znikać w ostatnim rzędzie, obok klatek z królikami, pod niezdarnie dobranymi pastelami wiosennego projektu z plastyki. Teraz stała obok biurka panny Parker, a w jej małych dłoniach trzęsły się karteczki z notatkami.

– Fanny Briggs była niewolnicą, która sama nauczyła się czytać.

Pewnego razu w radiu Dorothy Beechum, najslynniejsza kolorowa aktorka w kraju, czytała fragmenty opowieści Fanny Briggs o ucieczce na Północ. Matka zawołała Lilę Mae do salonu. Dziewczynka usiadła jej na kolanach i dyndając nogami, nachylała się do brązowej siatki radioodbiornika. Głos aktorki był żelazny i mocny, niezawodnie wzbudzał uznanie bardziej liberalnej publiczności, która szeptała o szlachetnym trudzie. Za popękaną słomianą siatką głośnika tłoczyły się maleńkie cząsteczki ciemności, tej niepokojącej ciemności, którą później Lila Mae kojarzyła z szybem windowym. To oczywiste, że referat przygotowała o Fanny Briggs. No bo o kim?

Niewielkie postępy w tym korku.

Czas się zmieniają. W mieście z coraz głośniejszą lud-

nością kolorową – zdolną posuwać się do organizowania nieznośnych protestów na użytek ostatnich brukowców lub ciskania pomidorami i zgniłą kapustą w trakcie skądinąd świetnie zorganizowanych przemów i wieców – to logiczne, że nowy gmach miejski nazwano imieniem jednej z bohaterek tych ludzi. Burmistrz nie jest głupi; ktoś głupi nie zostałby władcą miasta tak dużego i tak szalonego. Burmistrz jest nie w ciemę bity i rozumie, że to nie jest miasto na Południu, nie miasto starych pieniędzy ani nowych pieniędzy, ale najsłynniejsze miasto na świecie, więc obowiązują tu inne reguły. Nowy gmach miejski nazwano imieniem Fanny Briggs, protestów było niewiele, a obecnie lata mniej pomidorów.

Kiedy Lili Mae przydzielono inspekcję Fanny Briggs Memorial Building, nie przypisywała temu znaczenia. To logiczne, że padnie na nią albo na Pompeya, któreś z dwojga kolorowych inspektorów w Wydziale. Chancre ma łeb na karku. Bądź co bądź, w Gildii Dźwigowej również odbywają się wybory, między innymi w tym roku, dlatego ostatnio dzieją się przeróżne niespodziewane rzeczy. Na przykład podwyżka pensji w całym wydziale o 1,25 dolara, z której, jak mówi Chancre, po pewnym czasie zrobi się niegorsza sumka. Nie żeby inspektorów dźwigów, urzędników służby cywilnej do szpiku kości – pomimo reputacji niespokojnych duchów i sporadycznych efekciarskich ekscesów – ktoś musiał przekonywać do podwyżki o 1,25 dolara. Praca w budżetówce to praca w budżetówce, czy kontrolujesz windy, czy wagony z mięsem, więc mile widziany jest każdy

ruch, dzięki któremu zarobki zaczną bardziej przystawać do skali twojego wkładu w dobrobyt amerykańskiego obywatela, nawet jeśli to tylko kiełbasa wyborcza. Tak samo ze śrubokrętami. Kiedy wkrótce po podwyżkach rozesłano okólnik, że w drodze są nowe śrubokręty, mało kto przejął się tym, że prezes Gildii ostentacyjnie usiłuje zapunktować u elektoratu. Nowe śrubokręty były bowiem piękne. Odkąd miasto przyznało licencję Wydziałowi, z kieszeni inspektorskich marynarek sterczały wielkie, szpetne śrubokręty, niweczące jakąkolwiek próbę błysnięcia obyciem i szykiem. Trudno wypaść groźnie i oficjalnie, kiedy ciężar przechyla człowieka na jedną stronę. Nowe śrubokręty mają rączki z masy perłowej i końcówki o szerokości dokładnie odpowiadającej średnicy śrubek mocujących szybkę tabliczki kontroli. Rozkładają się jak scyzoryki, sycąc fantazje o szpiegach i tajnych misjach. Kto by z tym dyskutował?

Dlatego kiedy rozeszła się wieść, że właśnie Lili Mae przydzielono złożony z osiemnastu dźwigów blok wind w Fanny Briggs Building (z osiemnastu dźwigów!), co każdemu inspektorowi otworzyłoby drzwi do kariery, mało kto się zdziwił, a jeśli nawet Chancre stracił przez to w oczach Starych Wyg, to podwyżką i rozkładanymi śrubokrętami z masy perłowej odbił sobie z nawiązką. Gdy Lila Mae otrzymała zadanie, zrozumiała, że w ten sposób Chancre chce odciągnąć uwagę od rywala w wyścigu o fotel prezesa, liberała Orville'a Levera, który najwyraźniej uważa, że tylko intuicjoniści są zdolni zawiązywać koalicje, podawać rękę ludziom fundamentalnie się od nich różniącym itp. Może

i Lila Mae (która, nawiasem mówiąc, nadal nie bardzo się przesuwają w wieczornym korku) jest intuicjonistką, ale co ważniejsze, jest kolorową kobietą. Asystentka Chancre'a zostawiła na jej biurku kartkę: *Po wyborach pani służba nie zostanie zapomniana*. Zupełnie jakby trzeba ją było przekupywać mętną obietnicą awansu (do tego pewnie kłamliwą). Przecież taką ma pracę. Złożyła przysięgę, a takie rzeczy traktuje się poważnie. Trzymała tę kartkę w swoich małych dłoniach i choć nie podnosiła wzroku znad biurka, wiedziała, że wszyscy – i Stare Wygi, i Nowi z anachronicznymi fryzurami na bezpiecznik – właśnie na nią patrzą. Biorąc pod uwagę przepływ plotek w Norze (miejsce Lili Mae jest dość daleko w dole rzeki), o tym, że dostała tę sprawę, zapewne wiedzieli wcześniej niż ona. Zapewne chudy Ned, ten opar, błędzący cumulus, który udaje mężczyznę, skazany na robotę za biurkiem po głośnej kompromitacji w Johnson Towers, gadał z kimś, kto gadał z kimś ze ścisłego otoczenia Chancre'a, i wieść się rozeszła: robotę dostała kolorowa babka. Nie któryś z nich, nie Pompey. W latach wyborczych nie ma niespodzianek, jest tylko trochę więcej szumu na łączach.

I oto właśnie Chancre w firmowej dwurzędowej marynarce, sześciometrowy na billboardzie reklamującym United Elevator Company. Samochód Lili Mae wlecz się przez wąskie gardło przy wlocie tunelu, dlatego nie sposób go prze-gapić. Ponura procesja przestała trąbić – kierowcy wreszcie widzą tunel, a wjazd do niego jest zawsze poprzedzony obowiązkowym momentem refleksyjnego oczekiwania.

WSZYSTKO BEZPIECZNE – brzmi slogan u stóp Chancre’a, nawiązujący do słynnej deklaracji Otisa podczas wystawy w Crystal Palace w 1853 roku. Takie odniesienie niewiele mówi ludziom w samochodach otaczających Lilę Mae. W świadomości cywili reklamy wind zapewne funkcjonują po prostu jako mglista afirmacja nowoczesności, radosnego postępu, który traktuje się jak coś oczywistego i podświadomie się ceni – natomiast Lilę Mae i innych inspektorów słowa Otisa co rano wyciągają z łóżka. To ich święte motto.

Nawet wytrwali obserwatorzy niezbadanych ścieżek korporacyjnej próżności niezbyt pojmują nagłą wszechobecność reklam wind. Oprócz billboardów takich jak ten, który właśnie góruje nad Lilą Mae, reklamy branży dźwiękowej pojawiają się na ławkach w parkach, zdobią miejskie autobusy i wagony metra, ni stąd, ni zowąd jasno oplatają bandy stadionów baseballowych. Są też w innych miejscach. Pewnego razu przed podwójnym seansem w swoim ulubionym kinie – Marquee przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, które wśród dobrze zorientowanych słynie z darmowych dokładek popcornu – Lila Mae w oszołomieniu patrzyła na półminutową kronikę filmową prezentującą nowy beztarciowy napęd American Elevator. Do dziś łapie się na nuceniu tamtego chwytliwego refrenu w stylu doo-wop, choć rzeczony beztarciowy napęd to po prostu stary napęd 240-60 tej firmy, tyle że w eleganckiej nowej obudowie. To zjawisko stosunkowo świeże, ta widoczność międzynarodowej branży krótkodystansowego transportu pionowego, i nikt nie umie go wytłumaczyć. Nikt nie wie, ile Chancre rocznie zarabia

na tych reklamach, ale rozumie się samo przez się, że bardzo mu zależy na reelekcji na prezesa Gildii. Spójrzcie tylko na niego na tym billboardzie. Na razie Lila Mae sądzi, że w tej kampanii sama pełni funkcję dekoracji – ma potwierdzić nową, postępową twarz Gildii Dźwigowej i, co za tym idzie, władz miejskich.

Na razie jeszcze nie wie.

Jest już prawie w tunelu, kiedy stacja WCAM wreszcie postanawia uaktualnić wiadomości o sytuacji w budynku Fanny Briggs. W tunelu połyskują żółte kafelki, a Lila Mae widzi długie gardło dławione przez śluz. Spiker radiowy swoim geometrycznym głosem, tak pełnym płaszczyzn, podaje, że Chancre z burmistrzem zwołali konferencję prasową w celu omówienia dzisiejszych wydarzeń w nowym gmachu miejskim. Zanim jednak zdąży powiedzieć coś więcej, coś konkretnego, co pomogłoby jej się przygotować, tunel połyka sygnał. Ot tak. W aucie słychać już tylko ożywiony zgrzyt szumu radiowego, a za oknem – doniosły pomruk wielu opon toczących się po podłożu. Niemal zupełna cisza, aby ułatwić kontemplację tego cudu techniki, który przemierzają, tej epoki cudów, w której żyją. Powietrze jest trujące.

Coś się stało. To była jej sprawa. Lila Mae bębni palcami o kierownicę i odtwarza w pamięci wczorajszą rozmowę telefoniczną z Briggs Building. Ci, którzy w kształtach budynku poświęconego pamięci Fanny Briggs doszukują się analogii do jej silnego, niezgrabnego ciała, muszą brać poprawkę na umiłowanie przysadzistości zakorzenione w duszy każdego

miejskiego architekta. Gmachy administracji publicznej z zasady częściej są przysadziste niż wysokie, przypuszczalnie po to, by lepiej pomieścić głębokie szuflady z efemerydami w trzech egzemplarzach. Tak było od pokoleń. Ale któż w dzisiejszych czasach potrafi się oprzeć pokusie wind, tych szczebli ku Niebu, które sprawiają, że nieprzejednana wertykalność jest tak kusząca? Chociaż architektki mają świadomość, że przyszłość jest w górze, że przyszłość jest odpowiedzią na pytanie, jak wysoko możemy się wspiąć, trudno im się wyzbyć dawnych nawyków. Nawyki zaciskają zęby na łydce, głuche na wszelkie błagania, nawet te najlogiczniejsze. Zupełnie jak w polityce, ostatecznie jedynym zwycięzcą był zgniły kompromis. Fanny Briggs Memorial Building przycupnął na północnym skraju Federal Plaza, w odnowionej części śródmieścia, tęgi i przysadzisty przez pięć kondygnacji, żeby potem wystrzelić w powietrze kolejnymi czterdziestoma piętrami czystej, nieskazitelnej stali. Łączny efekt ma w sobie coś z poczwarki, jest fotografią szklanego insekta, który wylania się z kamiennego kokonu. Kiedy Lila Mae po raz pierwszy weszła po szerokich schodach gmachu i podniosła wzrok na wznoszący się nad nią monolit, na moment zadrżała i dostała zawrotów głowy: duża odpowiedzialność. Nad wejściem wyryto obowiązkowe łacińskie motto.

Teraz wyjeżdża z tunelu i nie ma pojęcia, co zrobiła źle. Potrzebny jej plan.

Zachowaj spokój, Lilo Mae.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).